Odnajdują po latach, wykopują, grzebią, dokumentują

Ziemia oddaje zwłoki

(RYNOWO - ROŻNOWO) II wojna światowa nie dla wszystkich jest zamkniętą kartą historii. Po 60 latach od jej zakończenia ziemia wciąż oddaje szczątki ludzkie porozrzucane do tej pory w najdalszych zakątkach krajów, które nawiedził ten kataklizm. W ubiegłym tygodniu szczątki żołnierzy niemieckich i rosyjskich wydobyto w Rynowie i Rożnowie.

Gdy docieramy do Rożnowa, tutejsze boisko jest już rozkopane. W długim dole uwija się kilkunastu pracowników. Kilku łopatami wyrzuca piach na boki poszerzając dół, pozostali łopatkami delikatnie wybierają grudki ziemi i szczotkami omiatają wyłaniające się z wolna ludzkie szkielety. Najpierw ukazują się czubki butów, później czaszki, na końcu piszczele. Ekipa ubrana jest w pomarańczowe kombinezony. Niektórzy noszą wojskowe spodnie lub bluzy, z różnymi militarnymi dodatkami. Przez chwilę jeden z nich przesuwa nad szczątkami czujnik wykrywacza metalu. Piszczy głośno i długo. Odkrywają kolejne warstwy. Do plastykowych pudełek co jakiś trafia zbutwiały portfel, który poznać po przylepionym doń grzebieniu, zardzewiałym długopisie, zbitce zwilgotniałych, czarnych już kartek papieru. W jednym pojemniku leży kilka monet ze swastyką, guziki. Do innego trafiają wojskowe „nieśmiertelniki" z numerami, po których można zidentyfikować poległego żołnierza.

Młody człowiek wyróżniający się czarnym kombinezonem okazuje się kierownikiem grupy. Andrzej Ossowski, pomimo swoich 27 lat ma już spore doświadczenie w ekshumacjach. Bierze w nich udział od siedmiu lat. Jest pracownikiem Zakładu Medycyny Sądowej Pomorskiej Akademii Nauk w Szczecinie. Ze strony polskiej nadzoruje ekshumacje dokonywane przez Niemiecki Związek Opieki nad Grobami Wojennymi VBGO (Verein zur Bergung Gefallener in Osteuropa).

- Po co się to robi? Żeby ich wszystkich pozbierać, żeby znaleźli swoje miejsce spoczynku oraz żeby ich zidentyfikować, bo większość z tych żołnierzy figuruje w kartotekach jako zaginieni. Nie wiadomo co się z nimi stało, gdzie i jak polegli. To ustalamy. Dokumentację otrzymuje Polski Czerwony Krzyż i Fundacja „Pamięć", która jest polskim przedstawicielem strony niemieckiej. – mówi Ossowski.

Pracom przygląda się starsza kobieta, Stefania Zwolińska. Miała w ekshumacji znaczący udział. Dokładnie wskazała miejsca grobów.

Andrzej Ossowski

- Przyjechaliśmy z rodziną z Syberii w 1946 r. Na łące przy kościele był dwa długie rzędy grobów, na których leżały niemieckie hełmy. Pierwszy rząd był tuż przy szpalerze rosnących tu kiedyś morw. – mówi

- Zgadza się, tak jak pani mówiła. Trafiliśmy bez zbędnego rozkopywania terenu. – chwali kobietę Ossowski.

Stefania Zwolińska pochodzi z Brzeżan, koło Lwowa. W 1939 r. Rosjanie wywieźli ją wraz z rodziną na Syberię. Miała 7 lat. W 1946 przyjechali transportem do Zagórzyc. Po roku przeprowadzili się do Rożnowa. Wskazuje na pobliskie zabudowania, w których mieszka. Doskonale pamięta pierwsze lata pobytu na nowej ziemi. W pobliżu gdzie kopią, stał kościół z dziurą w dachu, prawdopodobnie po bombie lub pocisku. To nie przeszkadzało, by spotykać się w nim na nabożeństwach majowych.

- Były organy i dzwon. Później został zabrany do Łobza i chyba do dzisiaj tam jest. – snuje przypuszczenia pani Stefania.

To co nie przeszkadzało ludziom, przeszkadzało władzy komunistycznej, która właśnie zaczęła wprowadzać swoje porządki. Rozebrała kościół i postawiła baraki dla robotników rolnych. Szła kolektywizacja i w tutejszym dworku, jak w prawie każdej wsi pomorskiej, założono PGR. Pozostałością po kościółku jest przylegający do niego niemiecki cmentarz; charakterystyczna aleja lipowa, w zaroślach płyty nagrobne.

- Piękny pałac był. – wspomina Zwolińska.

Dzisiaj to ruina ukryta w gąszczu drzew i krzaków. Wydaje się nie do uratowania, chociaż teren z budynkami kupił ktoś z Łobza.

- Wcześniej była tu jakaś kobieta, chyba Niemka. Pozabijała okna deskami, próbowała remontować. Ponoć chciała dokupić 200 hektarów ziemi, nie chcieli jej sprzedać, więc zrezygnowała. – przypomina sobie.

Po całym, kiedyś kwitnącym majątku pozostała dobrze zachowana stajnia. To ona była świadkiem wojennej tragedii, jaka się tutaj rozegrała.

W 1945 r. w Rożnowie zatrzymały się niedobitki 5 Dywizji Strzeleckiej, które wymknęły się z tzw. kotła świdwińskiego, dowodzone przez mjr Kellera. Już wtedy większość dróg była zablokowana przez Rosjan. Zatrzymali się w pałacu. Wieźli rannych, których umieścili w dużym budynku stajni. Nadciągali czerwonoarmiści. Niemcy zostawili więc rannych i ciężkie uzbrojenie, czołgi, armaty, i w nocy z 5 na 6 marca przez lasy i bagna przebili się na Rynowo. Wszędzie napotykali Rosjan i toczyli z nimi potyczki. Tam gdzie ginęli, kopano zbiorowe groby i zasypywano ich. Front szedł dalej. O tej historii miał opowiedzieć mjr Keller. Zmarł dwa, może trzy miesiące temu.

- Rosjanie, którzy weszli do Rożnowa na drugi dzień, prawdopodobnie zastrzelili rannych. To właśnie tam ich pogrzebano. – wskazuje na wykopy Piotr Brzeziński ze Stowarzyszenia Miłośników Archeologii Militarnej „Pomorze". Od 12 lat pomaga różnym organizacjom w poszukiwaniach zaginionych. Niemcom w Rynowie też się nie powiodło. Natknęli się na Rosjan i wywiązała się walka. Wczoraj ekshumowano tam szczątki 21 żołnierzy niemieckich i rosyjskich. Co się stanie z Rosjanami?

- Prawdopodobnie trafią na cmentarz w Stargardzie, ale o tym zdecyduje rosyjski konsulat. – mówi Ossowski.

Szczątki niemieckie trafią na cmentarz w Glinnej, w gminie Stare Czarnowo. Niemcy wykupili tam kilka hektarów i chowają wszystkich odnalezionych na terenie województwa zachodniopomorskiego. Jest ich tam już około 8 tysięcy. Takich cmentarzy jest w Polsce 11. Do tej pory trafiło na nie około 150 tys. poległych. Liczbę zaginionych szacuje się na około 450 tys. Pozostało więc jeszcze około 300 tys. osób do zidentyfikowania.

- Rosjanie w pałacu byli jeszcze ze dwa lata. – wracam do przerwanej rozmowy z panią Stefanią. – Niemcy jeszcze dłużej. Wyjechali gdzieś w 1957 roku. Ale przyjeżdżają do nas w odwiedziny. – ożywia się staruszka i jednym tchem wymienia imiona go-

ści z zagranicy: Wiktor, Herbert, Lisa, Ola.

W Rożnowie nie ma kościoła, pałac w ruinie, szkołę rozebrano, a cegły zabrał pan C. na budowę domu w Łobzie.

- Była poniemiecka. Urządzaliśmy tam potańcówki, była świetlica. Teraz nie ma nic. Nie ma gdzie zrobić zebrania, dzieci nie mają się gdzie podziać. – martwi się pani Stefania wpatrując się w resztki fundamentów pozostawionych po szkole.

Pytam Andrzeja Ossowskiego, czy Polska prowadzi podobne działania poszukiwawcze naszych żołnierzy.

- Nie, niestety. – mówi.

Zmartwienie pani Stefanii i odpowiedź pana Andrzeja zbiegają się w jakimś niewidzialnym dla oka punkcie deformującym wyobrażenie polskiego losu. Losu, w którym szczęk oręża, przelana krew, ofiarność, oddane za ojczyznę życie, zdławiony szloch skrycie zamordowanych przykrytych darnią, miesza się z jękiem rozpadających się pałaców zamienianych w kołchozy, pomrukiem obcych domów wchłaniających ciepło przybyłych skądś ludzi, niemą skargą bezimiennych zesłańców pogrzebanych gdzieś w stepach Rosji, ale także pogrzebanych nocą gdzieś pod murami więzień we własnym kraju. Nie opłakani, nie nazwani, patrzą z otchłani wieków smutnymi pustymi oczodołami na tą Polskę - jaką była i co się z nią stało. Na kolejne wstępujące pokolenia duchowych spadkobierców, którzy idą coraz szybciej nie wsłuchując się w ten jęk, nie wpatrując się w rozległą przestrzeń dziejów, nie oglądając się za siebie, nie pytając – dokąd? Jakby te pytania pogrzebano razem z nimi. Jakby słowa były bezbarwnymi dźwiękami poruszającymi tylko powietrze. Jakby wspomnienia były tylko przypadkowym zbiorem zdarzeń, bez ciągłości i znaczeń, kupą cegieł, która przecież jeszcze nie stanowią domu.

Brak kościoła, szkoły, świetlicy, pałacu, brak zainteresowania losem naszych poległych, zbiegają się w jakimś niewidzialnym dla oka punkcie deformującym dotychczasowe wyobrażenie polskiego losu. Deformowane przez lata myślenie o nas samych sprawia, że gotowi jesteśmy stawiać pomniki, kamienie, lapidaria i pomagać przy ekshumacjach Niemcom, a obojętnie przechodzimy obok tragedii i heroizmu naszych dziadów i pradziadów, skazując ich na zapomnienie. Skazując samych siebie na brak świetlic, kościołów, pałaców, pracy. Oni wciąż czekają na ekshumację. Często fizyczną, także duchową.

Kazimierz Rynkiewicz

W piątek, 3 czerwca, w Warszawie

Jerzy Przystawa

3 czerwca zbieramy się, w samo południe, na Placu Zamkowym w Warszawie, aby głośno domagać się przywrócenia nam naszych niezbywalnych praw obywatelskich, przede wszystkim tzw. biernego prawa wyborczego w wyborach do Sejmu, zagwarantowanego w art.99 ust.1 Konstytucji RP, a następnie potwierdzonego w Ustawie Ordynacja Wyborcza do Sejmu RP. Z Informacji o działalności Trybunału Konstytucyjnego przedstawianej Sejmowi, wynika, że prawa nie mogą mieć charakteru fikcyjnego. Tymczasem ta sama Ustawa ogranicza to prawo w takim stopniu, że skorzystanie z niego, dla ogromnej większości obywateli, zostało sprowadzone do fikcji.

Przede wszystkim, żaden obywatel polski, nawet gdyby jego kandydaturę poparły miliony innych, nie może kandydować do Sejmu *indywidualnie*. Żaden, nawet powołany zgodnie z Ustawą (art.98) komitet wyborczy nie może w sposób *skuteczny* zarejestrować pojedynczego kandydata. Art.143 pkt.2 Ordynacji Wyborczej wymaga, aby na liście kandydatów znajdowało się co najmniej tyle nazwisk, ile mandatów poselskich przypada na dany okręg wyborczy. Najmniejszy okręg wyborczy może mieć 7 mandatów, dla Warszawy, przykładowo, ta liczba wynosi 19, a więc lista kandydatów w Warszawie nie może zawierać mniej niż 19 nazwisk. W rzeczywistości musi zawierać więcej, na wypadek, gdyby jakiś kandydat np. umarł, albo z innego powodu nie mógł kandydować.

Co te przepisy oznaczają? Oznaczają, ni mniej ni więcej, tylko tyle, że bierne prawo wyborcze przysługuje obywatelom Rzeczypospolitej *kolektywnie*: moja kandydatura może zostać oficjalnie zarejestrowana POD WARUNKIEM, że razem ze mną zgodzi się kandydować grupa innych osób, w Warszawie co najmniej 18 innych.

Jednakże nawet gdybym znalazł w Warszawie ok. 20 innych gotowych kandydować wraz ze mną, zarejestrował odpowiedni komitet wyborczy poparty 1000 podpisów wyborców, a ten komitet zebrał jeszcze dodatkowo 5 tysięcy podpisów pod listą wyborczą, i nas wszystkich zarejestrował, i gdyby nawet wszyscy wyborcy Warszawy na nas zagłosowali, to i tak nie wystarcza to do uzyskania mandatu poselskiego. Art.133 tej samej Ustawy wymaga bowiem, żeby na listę tego komitetu padło co najmniej 5% głosów wyborców w skali całego kraju! Okręgów wyborczych jest w Polsce 42, co oznacza, że średnio, w jednym okręgu wyborczym zamieszkuje 2,38% wyborców. Nawet w dwóch okręgach nie mieszka, średnio, 5% tylko 4,76%. Innymi słowy, nawet zakładając, że wszyscy wyborcy w okręgu, w którym chciałbym kandydować będą głosowali na mnie to i tak figa z makiem, jeśli w co najmniej dwóch innych okręgach wyborcy zagłosują na jakichś innych ludzi. Cóż to za kuriozalne bierne prawo wyborcze, które mnie jakoby przysługuje, ale tylko pod warunkiem, że gdzieś tam w Polsce ludzie oddadzą swoje głosy na całkiem innych kandydatów?!

W piątek, 3 czerwca, w Warszawie zbieramy się, aby domagać się, żeby obywatelowi RP przyświecały takie same prawa, jakie mają Anglicy, Szkoci, Walijczycy, Irlandczycy, Francuzi, Niemcy a nawet Papuasi. Chcemy, aby każdy posiadający pełnię praw wyborczych obywatel Polski mógł skutecznie kandydować do Sejmu, a jego wybór zależał tylko od woli wyborców, a nie od widzimisię partyjnych baronów. Anglikowi, aby mógł skutecznie kandydować wystarcza 10 podpisów wyborców z jego okręgu i wpłacenie 500 funtów kaucji. Te kaucję mu oddadzą, jeśli w wyborach poprze go 5% wyborców w tym okręgu.

Zbieramy się w Warszawie, 3 czerwca, aby zaprotestować przeciwko zgubnym dla Polski skutkom pogwałcenia naszego biernego prawa wyborczego, dyskryminacji obywateli a uprzywilejowaniu partyjnych bonzów i ich partyjnych pretorianów.

Te szkodliwe, zgubne dla Polski skutki to **w pierwszym rzędzie niemożliwość wyłonienia tą drogą partii posiadającej większość parlamentarną**, a co za tym idzie, mandat obywatelski do wyłonienia rządu. Nigdy się jeszcze nie zdarzyło, żeby w wyniku wyborów w Polsce (ani - trzeba to wiedzieć - w żadnym kraju na świecie, gdzie posługują się podobnymi pomysłami wyborczymi) wyłoniony został stabilny, nie koalicyjny rząd. Od czasów "pierwszego nie komunistycznego premiera w Europie Środkowo-Wschodniej", mieliśmy już 11 premierów, czyli jednego premiera na półtora roku, a co rząd i co premier, to gorszy. Przyczyna tego stanu rzeczy tkwi w wadliwym, szkodliwym systemie wyborczym i tę wadę trzeba jak najszybciej usunąć. Teraz szczególnie, kiedy po odrzuceniu przez Francuzów projektu konstytucji europejskiej ważą się losy Europy, w takim momencie Polsce szczególnie potrzebny jest rząd cieszący się poparciem większości obywateli, a nie chimeryczna partyjna jaczejka podatna na przekupstwo i ulegająca najróżniejszym wpływom agentur z całego świata. Nic nie wskazuje na to, żeby w tym systemie wyborczym mogło dojść do wyłonienia takiej większości, bez względu na to, co deklarują dzisiaj przywódcy tych czy innych partii.

3 czerwca w Warszawie idziemy zaprotestować przeciwko gangrenie korupcji, jaką nieustannie rodzi i rozwija ten system wyborczy. Politycy wszystkich partii mają usta pełne frazesów o nieustającej i zdecydowanej walce z korupcją i codziennie usiłują nam dać dowody, jak to oni bezkompromisowo korupcję zwalczają. Tymczasem korupcja wpisana jest w ten system wyborczy i żadna partia walcząca o władzę nie może przed nią uciec. Tę korupcję rodzą ogromne koszta kampanii wyborczej. Jak pokazują oficjalne już statystyki koszt zdobycia jednego mandatu poselskiego wynosi ok. 1 miliona złotych. Konieczność przekroczenia progu wyborczego winduje wstępne koszta skutecznej kampanii wyborczej na ok. 20 milionów. Aby zdobyć liczącą się liczbę mandatów w Sejmie, koszty sięgają setek milionów. Takich pieniędzy partie polityczne w Polsce nie zdobywają ze składek swoich członków. Muszą więc, *volens-nolens*, sięgać do kieszeni najróżniejszych "sponsorów", nic więc dziwnego, że potem już muszą w tych kieszeniach siedzieć.

3 czerwca zbieramy się Placu Zamkowym, aby powiedzieć naszym Rodakom, że jest nadzieja na to, żeby Polska miała odpowiedzialną, nieskorumpowaną, patriotyczną klasę polityczną – polityków, nad którymi władzę i kontrolę sprawują obywatele, ich wyborcy. Nie jest to nadzieja iluzoryczna, nie jest to jakaś utopia, nie są to żadne pobożne życzenia. Istnieje sprawdzony, wypróbowany w świecie sposób, aby tak mogło być. Tym sposobem jest prosty, jasny, klarowny system wyborczy, zrozumiały dla każdego: jednomandatowe okręgi wyborcze. Polacy, w swojej masie, opowiadają się za takim systemem wyborczym, dowodzą tego badania opinii publicznej, dowodzą tego setki uchwał rad gmin, powiatów i województw, dowodzą tego deklaracje gremiów akademickich, związków zawodowych, stowarzyszeń i różnych organizacji, dowodzi tego ponad 750 tysięcy podpisów zebranych pod obywatelskim wnioskiem o referendum, którego jednym z pytań ma być pytanie o jednomandatowe okręgi wyborcze.

Na razie politycy, posłowie, senatorowie i prezydent udają, że tych wezwań nie słyszą, że głos obywatelski w tej sprawie jest za cichy, za słaby. **Idziemy 3 czerwca pod Kolumnę Zygmunta w Warszawie, aby ten głos był donośny, żeby wypadły zatyczki z uszów prezydenta, posłów i senatorów.**